

W poszukiwaniu podmiotowości, czyli czego uczą nas młodzi prezydenci miast



KRZYSZTOF MAZUR

Doktor politologii, szef Rady Klubu Jagiellońskiego

Nawet, wydawałoby się, wszechpotężne partie są zbyt skostniałe, by zatrzymać oddolną zmianę pokoleniową

Starzy politycy prowadzą z młodymi cyniczną grę. Z jednej strony, na wszystkie sposoby werbalnie zachęcają ich do zaangażowania w sprawy publiczne. Z drugiej, tak napisali statuty swoich partii, by maksymalnie uprzywilejować swoją pozycję i zwasalizować młodych działaczy. Mechanizmy te można pokazać na przykładzie karier dwóch młodych prezydentów miast, którzy w ostatnich wyborach wygrali w Starachowicach i Stalowej Woli.

Wyciąć zdolnego

W Starachowicach po ostatnich wyborach literalnie zaczęła się nowa epoka. Nowy prezydent, Marek Materek, jest pierwszym politykiem pełniącym tak wysoką funkcję urodzonym już po wyborach czerwcowych '89. Ma wiele cech polityka nowego pokolenia: dobrze wykształcony, z bogatym doświadczeniem działalności społecznej, mający szerszy ogląd spraw (przez pięć lat był dyrektorem biur poselskich w województwie świętokrzyskim eurodeputowanej Róży Thun).

Historia Materek to jednak nie wyłącznie *success story*. Doświadczył on całej brutalności zderzenia się z betonem partyjnym. Po kilku latach współpracy z Thun podjął decyzję o wstąpieniu do PO (2011), zakładając koło w Starachowicach. Na tyle szybko się ono rozrosło, że w 2013 został wybrany na szefa powiatowych struktur PO. Założył również coś na kształt miejskiego think-tanku, który miał przygotować program samorządowy. Z tego środowiska wyszły takie pomysły, jak budżet obywatelski, Rada Seniorów czy Karta Dużej Rodziny.

Wszystkie te działania budziły ogromne kontrowersje w zarządzie regionu PO. Materkowi zarzucano nadmierną promocję własnej osoby oraz bardzo szybki wzrost liczby członków jego koła. Tak naprawdę chodziło jednak o zachowanie status quo w wyborach do Sejmu. W miejscowej Platformie Starachowice – trzecie co do wielkości miasto w województwie, z dużym poparciem dla PO – były bowiem marginalizowane przez region. Przewodniczącą tego regionu jest pochodząca z sąsiedniego

powiatu posłanka Marzena Okła-Drewnowicz, „jedyńka” na liście sejmowej. Zatem brak silnego lidera PO w Starachowicach pozwala przewodniczącej regionu zwiększyć swój zasięg wyborczy. Analizując sytuację, z tej perspektywy widać było jak na dłoni, że młody, aktywny i niezależny szef starachowickich struktur szybko stanie się zagrożeniem dla politycznego status quo w świętokrzyskiej PO.

Dlatego podjęto decyzję, że Materka należy usunąć z PO, nim zbuduje sobie jeszcze silniejszą pozycję. Pretekstem były rozbieżności przy okazji nominacji Platformy dla kandydata na prezydenta Starachowic w przyspieszonych wyborach w maju 2014. Materek, zgodnie z przysługującym mu prawem, poparł pochodzącą z Kielc prof. Marzenę Marczewską (członkinię PO). Zarząd Wojewódzki Platformy miał na te wybory inny pomysł, gdyż chciał poprzeć lokalnego działacza ze Starachowic, który wszakże nie był członkiem partii. Tak oto w przyspieszonych wyborach wystartowało dwóch kandydatów popieranych nieformalnie przez PO. Jak łatwo się domyślić, głosy tych kandydatów się rozbiły, a do drugiej tury weszli politycy SLD i PiS-u.

Niezależności młodego działacza ze Starachowic było już za wiele. Najpierw Zarząd Wojewódzki partii jednogłośnie rozwiązał struktury w powiecie starachowickim, następnie Zarząd Krajowy PO wykluczył Materka z PO. Sam zainteresowany został powiadomiony o tym fakcie SMS-em, nie mając prawa do obrony. W ten sposób na trzy i pół miesiąca przed wyborami samorządowymi PO „zrównała z ziemią” własne struktury w ważnym mieście powiatowym. Te działania przelożyły się na tragiczny wynik wyborczy. W listopadowych wyborach PO nie zdobyła żadnego mandatu w radzie miasta (!).

Kandydat PO zdobył niecałe 5% w wyborach na prezydenta Starachowic.

Jak się nie dać partyjnym bossom

Materek po takim ciosie zamierzał zupełnie wycofać się z życia publicznego. Paradoksalnie jednak decyzja PO okazała się dla niego zbawienna. Gdyby pozostał dalej szefem powiatowych struktur PO, to w listopadowych wyborach ponownie rekomendowałby prof. Marczewską. Sam nie zakładał startu, gdyż działacze przekonywali go, że jest zbyt młody. Teraz wszystkie te zewnętrzne naciski zniknęły. Materek mógł sam zbudować swój komitet do rady miasta i w pełni wziąć odpowiedzialność za stronę programową. Wyrzucenie go z Platformy dało mu zatem poczucie politycznej sprawczości.

Co jeszcze ciekawsze, opisane perypetie otworzyły Materka na sojusz wyborczy z PSL-em, który tak naprawdę zapewnił mu wygraną. Choć startował ze swojego komitetu, to otrzymał realne wsparcie ludowców, którzy są bardzo wpływowi w Świętokrzyskim. Popierany przez popularnego w regionie marszałka Adama Jarubasa, innych tuzów PSL-u oraz Różę Thun, młody polityk mógł udowodnić, że ze wszystkich kandydatów ma najlepsze kontakty wśród polityków decydujących o środkach unijnych. To nie tylko uwiarygadniało go jako poważnego kandydata, ale również budowało główny przekaz kampanii: zdobędę środki na nowe inwestycje w mieście. Dzięki profesjonalnej kampanii i świeżej wizji Materek wygrał w drugiej turze z urzędującym prezydentem Starachowic 59% do 41%.

Ta historia jest typowym przykładem „negatywnej selekcji” dokonującej się w partiach. Lokalni, niezależni liderzy, jeśli nie mają poparcia w strukturach wo-

jewódzkich, nie są traktowani jako szansa na zwycięstwo w samorządach, ale jako śmiertelne zagrożenie. Lepiej się ich pozbyć, nawet jeśli w ich miejsce przyjdą „mierni, bierni, ale wierni”. Ten przykład pokazuje również, jak sprawy samorządowe stają się drugorzędne wobec polityki prowadzonej na wyższym szczeblu. Władze regionalne były gotowe na druzgocącą klęskę w wyborach samorządowych w Starachowicach (ani jednego mandatu w radzie miasta!), byle tylko pozbyć się potencjalnego niewygodnego konkurenta w walce o mandat poselski w 2015.

Duma Polski powiatowej

W historii Lucjusza Nadberezny (rocznik 1985), nowego prezydenta Stalowej Woli, najbardziej interesujący jest pewien fakt. Gdy przyszły prezydent rozpoczął studia zaoczne w Lublinie, podjął pracę jako konsultant telefoniczny w jednej z sieci komórkowych. Siedząc 12 godzin dziennie, jak sam mówił, w mało ambitnej pracy, zadał sobie pewnego dnia pytanie, dlaczego właściwie wyprowadził się ze swojego rodzinnego miasta. Przecież dużo ciekawsze rzeczy niż praca w call center mógłby robić w Stalowej. Wtedy postanowił wrócić, przenieść się tam na Wydział Zamiejscowy KUL-u, wystartować w wyborach samorządowych i pracować na rzecz miasta. Ta prosta historia opowiada o odradzającej się dumie tzw. Polski powiatowej.

Nadberezny wystartował do rady miasta w 2006 z list PiS-u. W tamtym czasie był zwolennikiem rządów POPiS-u, wierząc w głęboką reformę państwa. Fascynowała go zwłaszcza polityka Jarosława i Lecha Kaczyńskich, stąd wybór komitetu. Nie miał przy tym żadnych powiązań rodzinno-towarzyskich z PiS-em, dlatego zadzwonił po prostu do pełno-

mocnika partii w mieście. Tak oto „z ulicy” został kandydatem do rady miasta. Dzięki wysłaniu listu bezpośrednio do mieszkańców już przy pierwszym podejściu został radnym, stając się najmłodszym członkiem rady miasta w historii Stalowej Woli (miał wtedy 21 lat). Nadberezny bardzo rzetelnie zaczął przygotowywać się do każdej sesji, co szybko zapewniło mu popularność wśród mieszkańców.

**Lokalni, niezależni liderzy,
jeśli nie mają poparcia
w strukturach
wojewódzkich, nie są
traktowani jako szansa na
zwycięstwo w samorządach,
ale jako śmiertelne
zagrożenie**

Po tamtych wyborach zostaje również członkiem Prawa i Sprawiedliwości, angażując się odtąd we wszystkie kolejne kampanie wyborcze tej partii. Przyczynił się walnie do sukcesu senator Janiny Sagatowskiej, poprowadził również kampanię posła Antoniego Bładka. Był szefem kampanii Wiesława Siembidy, kandydata PiS-u na prezydenta Stalowej w 2010. W zamian otrzymywał coraz poważniejsze zadania: dyrektor biur senator Sagatowskiej, przewodniczący Klubu Radnych PiS w Radzie Miasta (2010–14), kierownik Wojewódzkiego Ośrodka Ruchu Drogowego w Tarnobrzegu, dyrektor Departamentu w Urzędzie Marszałkowskim u marszałka Władysława Ortyła. Pełniąc każdą z tych funk-

cji Nadberezny bronił się pracowitością i merytoryką: był kompetentnym i popularnym radnym (w 2010 w wyborach na radnego zdobył 1268 głosów, co jest rekordem w historii stalowolskiego samorządu), sprofesjonalizował kampanie wyborcze swojej formacji, dokonał dobrych zmian jako kierownik WORD-u. Co być może najważniejsze, skuteczność Nadbereznego zauważył sam Jarosław Kaczyński, który publicznie go chwalił na jednym ze spotkań.

Gdy zatem zbliżały się wybory samorządowe 2014, sytuacja w mieście wydawała się być klarowna. To Nadberezny miał być naturalnym kandydatem PiS-u w wyborach prezydenckich. Zwłaszcza że w międzyczasie z partii do Solidarnej Polski odszedł Wiesław Siembida, który ubiegał się o prezydenturę Stalowej cztery lata wcześniej. Jednak atuty Nadbereznego mogłyby nie wystarczyć, gdyż sceptycy ciągle podkreślali jego bardzo młody wiek. Ostatecznie na rzecz młodego samorządowca przesądziło poparcie udzielone mu przez senator Sagatowską i posła Błądka, których kampanię parlamentarną w 2011 prowadził właśnie Nadberezny. Decyzję tę ostatecznie zatwierdził Kaczyński.

Niespodziewana detronizacja

Jego przeciwnikiem był Andrzej Szlęzak (rocznik 1962), prezydent rządzący Stalową Wolą od 2002 r. Choć do pierwszego zwycięstwa szedł jako kandydat popierany przez PiS, to niedługo po tym skonfliktował się z władzami tej partii. Od tamtej pory wybory na prezydenta Stalowej wyglądały bardzo podobnie. Liczyli się wyłącznie Szlęzak i kandydat PiS-u, przy czym w drugiej turze to zawsze wygrywał Szlęzak, mniej więcej w proporcjach 60% do 40%. Tym razem było inaczej.

Młody kandydat na prezydenta przedstawił Plan Działania dla Stalowej Woli na lata 2014–2018, który punkt po punkcie opisywał postulowane zmiany w mieście. Plan trafił do skrzynek pocztowych wszystkich mieszkańców. Kampania bazowała na bezpośrednim kontakcie z wyborcami. Codziennie na innym osiedlu Stalowej stawał przenośny namiot, w którym Nadberezny przez kilka godzin rozmawiał z mieszkańcami. Istotnym uzupełnieniem jego kampanii prezydenckiej była kampania kandydatów PiS-u do rady. Po raz pierwszy wybory do rady były w jednomandatowych okręgach wyborczych. Dlatego Nadberezny, dokonując wyboru kandydatów bardzo świadomie kierował się logiką, że nie liczy się przynależność partyjna, ale siła wyborcza.

Przyniosło to znakomity efekt. Nadberezny wygrał prezydenturę już w pierwszej turze (52% do 44% Szlęzaka). Jednocześnie PiS zdobył 19 na 23 mandaty w radzie miasta. Nie należy przy tym ulec złudzeniu, że to nic wielkiego, gdyż „Podkarpacie jest za PiS-em”. Wystarczy porównać wyniki w Stalowej do sąsiedniego miasta Nisko, gdzie w wyborach parlamentarnych prawica jest równie silna. W Nisku PiS zdobył tylko 3 na 21 mandatów do rady miasta, a ich kandydat na prezydenta nie wszedł nawet do drugiej tury. To pokazuje, że samorządowe zwycięstwa PiS-u na Podkarpaciu wcale nie są oczywistością, ale zależą od lokalnych liderów.

Historia Nadbereznego to rzadki w Polsce przykład pozytywnej kariery w ramach struktury partyjnej. Przyszły prezydent Stalowej Woli został członkiem PiS-u w wieku 21 lat, w pełni utożsamiając się z linią ideową swojej partii. Od tamtej pory mocno angażował się we wszystkie działania swojej formacji. I to było klu-

czowe z perspektywy dalszej kariery Nadberezego. Pracując na rzecz senator Sagatowskiej i posła Bładka, zapewnił sobie ich przychylność, a za ich sprawą – również prezesa Kaczyńskiego. Dzięki ich poparciu mógł w wieku zaledwie 29 lat zostać kandydatem największej partii prawicowej w trzecim pod względem ludności mieście na Podkarpaciu. Nadberezny nie zawiódł, budując zespół, który odniósł jednoznaczne zwycięstwo także w wyborach do rady miasta.

System „dojść”

Na pierwszy rzut oka te dwie historie niewiele łączy. Po bliższym przyjrzeniu dostrzegamy jednak, że, niczym awers i rewers, są one właściwie dwiema stronami tej samej opowieści. Ujawniają te same mechanizmy, stąd prowadzą do bardzo podobnych wniosków.

Drogi Materek i Nadberezego wyraźnie pokazują, że awans w ramach współczesnych polskich partii odbywa się poprzez odgórne decyzje, a praca w okręgu nie ma praktycznie żadnego znaczenia. Obaj młodzi politycy szybko zbudowali swoją pracowitością mocną pozycję lokalną. Materek założył prężne koło PO, został szefem powiatowych struktur, powołał miejski think-tank „Nowe Starachowice”. Skuteczność w budowaniu lokalnej drużyny zamiast zapewnić mu jednak pozycję i uznanie w strukturach partii, tak naprawdę okazała się być dla niego balastem. To poseł Marzenia Okła-Drewnowicz zadecydowała o jego przyszłości w partii, a nie jego współpracownicy ze starachowickiego koła PO. Podobnie Nadberezny szybko stał się jednym z najpopularniejszych radnych w mieście, o czym świadczy jego rekordowy wynik wyborczy już po czterech latach w radzie. Jednak,

gdy doszło do wyboru kandydata PiS-u na prezydenta miasta, ta popularność nie miała większego znaczenia. O nominacji decydowali poseł Bładek, senator Sagatowska i prezes Kaczyński. Nadberezny otrzymał nominację nie dlatego, że był popularny „w dołach”, ale dlatego, że zapracował sobie na przychylność „góry”.

Blokada pokoleniowa

Analiza statutów tych partii, jak i sposobu funkcjonowania dowodzi, że sytuacja osób młodych jest w nich tak samo trudna. Nikt nie proponuje im w ramach tych struktur uczciwych zasad konkurencji i klarownych ścieżek awansu. Tak jak posłowie są w nich na przegranej pozycji wobec prezesów partii, tak młodzi samorządowcy są na przegranej pozycji wobec woli lokalnych posłów. W PO o nominacjach w wyborach samorządowych ostatecznie decyduje zarząd regionu (województwa), w PiS-ie zarząd okręgu sejmowego. W praktyce są to zatem lokalni posłowie. Właśnie dlatego w obu tych partiach jest bardzo wielu młodych radnych, którzy zamiast angażować cały swój wysiłek na rzecz pracy dla swoich osiedli, dzielnic czy gmin, wybierają „noszenie teczki” za swoim posłem. Niespecjalnie zależy im nawet na budowaniu swojej rozpoznawalności w mieście, żeby za bardzo nie podpaść niezależnością swojemu pryncypałowi. Wszakże to on będzie miał kluczowe zdanie przy ustalaniu list do rady miasta.

Ten mechanizm jeszcze mocniej zadziała w przypadku tak prestiżowych nominacji, jak kandydat danej partii na prezydenta miasta. Każdy poseł, choć ostatni raz zasiadał w samorządzie jeszcze w XX wieku, a sprawami lokalnymi w ogóle się nie interesuje, sto razy zastanowi się, za-

nim pozwoli na start w takich wyborach młodemu radnemu. Przecież może tylko na tym stracić. Jak „młody” wygra, to nagle będzie lokalnie więcej znaczył niż poseł. Jeśli nawet przegra, to zwiększy swoją rozpoznawalność, którą za chwilę będzie chciał wykorzystać w wyborach do Sejmu.

**Awans w ramach
współczesnych polskich
partii odbywa się poprzez
odgórne decyzje, a praca
w okręgu nie ma praktycznie
żadnego znaczenia**

Dlatego większość posłów, zamiast promować młodych samorządowców, kilkakrotnie będzie startować na prezydentów swoich miast, choć kompletnie nie wierzą w wygraną. Widać to w wielu miastach. W Poznaniu poseł Tadeusz Dziuba z PiS-u już dwukrotnie ubiegał się o fotel prezydenta miasta, blokując m.in. popularnego młodego radnego Szymona Szynkowskiego vel Senka. Z kolei w Gorzowie Wielkopolskim już dwukrotnie, z równie mizernym skutkiem, startowała na prezydenta poseł Krystyna Sibińska z PO. Młodzi samorządowcy, którzy nie dość, że nie mają stałych relacji „z Warszawą”, to jeszcze nie mogą odwołać się do starych kontaktów z „szefem” z czasów PC czy KLD, są w ten sposób przyblokowani na swojej ścieżce awansu. Kto wie, czy Nadbereżny zostałby ostatecznie kandydatem PiS-u w Stalowej, gdyby Wiesław Siembida

nie zrobił mu miejsca, odchodząc do Solidarnej Polski?

Opisany mechanizm przyblokowanej ścieżki awansu nie jest czymś przypadkowym. Przeciwnie, wszyscy politycy zdają sobie z niego sprawę. Wszak sami tak napisali statuty swoich partii, by chronić swoją pozycję przed „nowymi”. Równie oczywiste są mechanizmy, które zmieniłyby taki stan rzeczy, wprowadzając uczciwe zasady konkurencji.

Prosty przepis na rewolucję

Sprawa podstawowa to upodmiotowienie podstawowej komórki partyjnej, czyli w przypadku PO koła, a w przypadku PiS-u komitetu. Jeśli członkowie kół/komitetów danej gminy, a nie władze regionu/okręgu sejmowego, mieliby narzędzia do kształtowania polityki w danej gminie, to w partiach dokonałaby się rewolucja. Okazałoby się, że listy do rady miasta i wybór kandydata leży po stronie zaangażowanych na danym terenie działaczy, a nie blokującego od lat konkurencję lokalnego posła. W takim systemie młody działacz miałby poczucie jasnych reguł gry. Jego pozycja będzie zależała od ilości osób, które swoją działalnością zachęci do członkostwa w kole/komitecie partii i przekona do swoich pomysłów. Zmusi go to do większej aktywności w terenie, bo jego przyszłość będzie zależeć od wypracowanego autorytetu u swoich ludzi, a nie od jeżdżącej na pstrym koniu łaski pańskiej. Wreszcie ta rewolucja upodmiotowiłaby samorząd, który dziś jest wyraźnie zdominowany przez wybory parlamentarne. Przykład kłęski PO w Starachowicach pokazuje najlepiej, że wybory do rady miasta dla większości posłów nie mają żadnego znaczenia.

W PO upodmiotowienie kół musiałyby się wiązać z wyeliminowaniem tzw. martwych dusz, które zasilają koła lokalnych liderów, ugruntowując ich pozycję w partii. Każdy lokalny baron musi mieć pod sobą jak najwięcej członków partii, by liczyć się w wewnętrznych wyborach. Syndrom „martwych dusz” wyeliminowałby zakaz płacenia składek w siedzibie partii, na rzecz przelewu z osobistego konta bankowego. Zmuszałoby to każdego fikcyjnego członka do comiesięcznych przelewów. To proste rozwiązanie ukłóciłoby takie postępowanie. Na to jednak nie chcą zgodzić się baronowie. W ten sposób PO traci wielu aktywnych lokalnych działaczy. Wykruszają się, bo widzą, że ich rzetelna praca na rzecz spraw lokalnych nie ma sensu. W ostatecznym rozrachunku liczy się tylko to, ilu emerytów i bezrobotnych byłoby w stanie „finansowo przekonać”, by zostali Twoimi „martwymi duszami”.

Po wprowadzeniu tych prostych mechanizmów okazałoby się, że partie nie są tylko wąskimi kadrówkami, ale masowymi organizacjami, gdzie odbywa się realna dyskusja programowa i jawnie podejmowane są decyzje personalne. Skorzystałyby na tym i samorząd lokalny,

i polska demokracja. Straciliby jedynie bonzowie partyjni.

Oni nas nie zatrzymają

Powie ktoś, że postulowane zmiany nie zostaną nigdy wprowadzone, gdyż uderzają w monopol tych, którzy mogą je wprowadzić. Jest w tym wiele racji. Myśląc jednak o budowie w Polsce prawdziwie republikańskiej, masowej partii, trzeba wyciągnąć wnioski z tej lekcji. Aktualnie młodzi ambitni samorządowcy mogą szukać swojej podmiotowości w starcie na własną rękę. Jeśli blokujący ich bonzowie partyjni nie dają im możliwości działania, to jedyną drogą jest budowa obywatelskich komitetów samorządowych. Jeśli nie są w stanie powtórzyć sukcesu Nadbereznego w ramach istniejących partii, to zawsze mogą iść drogą Materka. Właśnie takie myślenie napędza popularność „ruchów zmiany” w naszych miastach. Bo nawet, wydawałoby się, wszechpotężne partie są zbyt skostniałe, by zatrzymać oddolną zmianę pokoleniową. Mogą ją spowalniać, ale rewolucja i tak się już dokonuje, o czym pisał na łamach „Nowej Konfederacji” Rafał Matyja.